

Ucieczka

Nazywam się Tomasz Toivi Blatt, urodzony w Izbicy w województwie lubelskim 1927 roku. W Izbicy mieszkałem aż do końca, do wysiedlenia wszystkich Żydów w 1943 roku. Obecnie mieszkam w Stanach Zjednoczonych, w Santa Barbara w Kalifornii.

Tomasz Czajkowski: Jak pan pamięta sierpień trzydziestego dziewiątego roku, czy coś zapowiadało wojnę?

Do trzydziestego dziewiątego roku, do początku drugiej wojny światowej żyłem w Izbicy. Naszymi sąsiadami byli chrześcijanie, Polacy. Nie było żadnych zgrzytów. Raz widziałem na płocie napis „Żydzi do Palestyny”, nawet „Nie kupuj u Żydów”, ale nie było ostrych zadrażnień. Pamiętam też dzień, kiedy wszyscy chrześcijanie zjeżdżali do kościoła na odpust - wtedy się baliśmy, zamykaliśmy drzwi.

Kiedyś osiem ciężarówek policyjnych zatrzymało się w Izbicy. Wyszli polscy policjanci. Krew widziałem na butach. Zrobili pacyfikacje Ukraińców. To nie miało nic wspólnego z Żydami. Pamiętam, że kiedyś jakiś nowy chłopak po szkole mnie gonił; chciał mnie zabić. Ale mój kolega Janek Gut, jego ojciec bronił: „Nie rusz, to jest syn legionisty”.

Miasteczko było bardzo biedne i bardzo pobożne. Rabin prowadził życie duchowe i prawie wszyscy byli religijni. Tylko kilku starało się asymilować. Potem przyszła wojna. Na początku nie było źle. Wojsko niemieckie w Izbicy to było zwykłe wojsko, Wehrmacht. Niemcy oczywiście rozmawiali w języku niemieckim, który jest bardzo, bardzo podobny do języka żydowskiego, tak że Żydzi nie mieli problemu, żeby rozmawiać z żołnierzami. Pamiętam, że nawet handlowali z niektórymi Niemcami. Kupowałem liście tytoniowe (miałem dwanaście lat), kroilem je na drobne kawałki i robiłem papierosy, które potem sprzedawałem żołnierzom. Oni ich nie potrzebowali, ale w pierwszym okresie zachowali się po ludzku. Dostawałem za te papierosy czekoladę czy cukierki. Do czasu, gdy tak zwani SS-owcy i gestapo przyjechało. Założyli swoją siedzibę w domu byłego weterynarza. I wtedy zaczął się koszmar. Było tych dwóch gestapowców Engels i Klem. Codziennie mordowali niewinnych ludzi na ulicy. Potem były łapanki do obozów pracy. Pracowali tam ludzie,

złapani Żydzi tydzień, dwa, trzy. Potem ich wypuszczali. Jeszcze później trzymali ich już w obozie dłużej czas. Warunki były bardzo złe, ale w porównaniu z tym, co było później, to drobiazg. Ludzie nie stawali się na rady żydowskie. Judenrat robił zawsze listę, kogo wysłać na roboty do obozów pracy. Jak ktoś był bogaty, to wykupił się, płacił biednemu, który wziął jego miejsce. W kwietniu łapanki przyjęły inną formę. Przyjechała grupa SS-owców, wysokie chłopy, czarne mundury i emblemy trupiej czaszki na czapkach. Wszystko się zmieniło. Na początku zażądali, żeby Judenrat dostarczył półtora tysiąca Żydów do wysiedlenia na wschód, bo Żydzi z Niemiec mają przyjechać. Kto się zgłosił dobrowolnie do pociągu, dostanie chleb i marmoladę. Głodni ludzie wzięli swoje żony, dzieci i poszli do stacji kolejowej. Tam otrzymali chleb, tak jak Niemcy przyrzekli, marmoladę, najedli się i wsiedli do wagonów. Pociąg odjechał, ale w przeciwieństwie do poprzednich łapanek, tym razem nie było po nich śladu, nie wiadomo było, gdzie pociąg stanął. Przedtem, jak wzięli ludzi do roboty, do obozu pracy, to na drugi dzień wiedzieliśmy, były liściki „jesteśmy tu i tu, proszę przyślijcie na jedzenie, czy ubranie”. Tym razem śladu nie ma. Potem dowiedzieliśmy się, że istnieją obozy śmierci. Bełżec, Sobibór. Nie chcieliśmy wierzyć. To nie do wiary było, żeby ludzi w XX wieku zagazować.

Obóz śmierci był jakieś 70 kilometrów od Izbicy. Niemcy i Ukraińcy rozbijali domy. Izbica leży w niecce, w dolinie, naokoło pagórki. Jak żołnierze okrążyli Izbicę, stali na pagórkach, to nie można było się wydostać. Z trzech stron pagórki, a z czwartej rzeka. I tak powoluśku Izbica się wyludniała. Ale na miejsce tych, których wywieźli, przywieźli niemieckich Żydów. Przywieźli ich i wpuszczali do mieszkań, które polscy Żydzi opuszczali. Ci niemieccy Żydzi pisali do domu listy, że tak, jak Niemcy mówili, są przesiedleni na wschód, bo Izbica jest wschodem, ciężko jest, ale można żyć. Te listy poszły do Niemiec. Jeżeli potem była znowu rejestracja Żydów do przesiedlenia na wschód, to się nie ukrywali, bo przecież mieli listy od swoich poprzedników. Szło to gładko. Potem ci niemieccy Żydzi też zostali wzięci do Bełżca.

Matka zawołała mnie do siebie do pokoju i mówi: „Tomek, Toivi - po żydowsku, ty dzisiaj wyjeżdżasz do Węgier”. Ja mówię: „Mamo, jak to do Węgier, co?”. Byłem chłopem, wiejskim chłopcem. Dla mnie Izbica była pępkiem świata. Słyszałem, że ludzie żyją inaczej w dużych miastach, że nie ma w nocy lampy naftowej, tylko guzik przy ścianie się przekręca i światło jest. Jeszcze gorsze rzeczy słyszałem: że ubikacje są w mieszkaniach. W Izbicy było kilka wychodków dookoła miasta. Jak potrzebowałeś, to tam leciałeś. To była Izbica. Nigdy dalej nie jeździłem. Ale kochałem to miasto. Wydawało mi się, że żyję szczęśliwie z rodzicami. A teraz mama mi mówi: „ty jedziesz do Węgier”. O co tu chodzi?

W 1942 roku Żydzi na Węgrzech jeszcze żyli normalnie. Morderstwo Żydów węgierskich zaczęło się dopiero w 1944 roku. Marzeniem Żyda w Izbicy było przedostać się na Węgry. Były

grupki Polaków, którzy za pieniądze podejmowali się przeprowadzenia. Kierownik jednej z grup nazywał się Gajosz. Matka zapłaciła mu, żeby mnie dołączył do grupy mającej się dostać do Węgier. I faktycznie, o godzinie drugiej pożegnałem się z rodzicami i poszedłem do sąsiada. Tam się wszyscy zebrali. Było nas około ośmiu. Między nami była taka śliczna dziewczyna, miała może 17 lat. Dotarliśmy do stacji kolejowej, schowałem się w krzaki. Pociąg nadjechał. Skoczyliśmy do ostatniego wagonu. Jechaliśmy na Węgry. Ale nie udało się. Ta dziewczyna miała wybitne semickie rysy. Była piękna, tylko nos może miała za długi i czarne, kręcone, krucze włosy. Stała cały czas przy oknie. Udawała, że obserwuje panoramę, a właściwie ukrywała swoją twarz. Konduktor przechodził, zapytał o bilety. Ona się odkręciła i podała bilet. Widocznie jakiś współtowarzysz podróży ją zauważył. Pięć minut później przyszła żandarmeria. Została aresztowana. Zaczynali gadać między sobą nerwowo, co z nią zrobią? Może zabiją? Czułem, że pot mnie oblewa. Okropnie się bałem. Miałem 14 lat. Wziąłem gazetę i udałem, że czytam. Jakby ktoś wszedł do wagonu, to z miejsca by mnie zauważył - szum naokoło, a tu gość siedzi i czyta jak gdyby nigdy nic. Gazeta została wyrwana sprzed mojej twarzy. Patrzę a tu ukraiński żołnierz. „Dowód!”. Pokazuje mi metrykę urodzenia, którą dał ojcu urzędnik gminny w Izbicy, żeby mnie ratował. „Jak się nazywasz?” „Waldemar Ptaszek” - to było w nowych papierach. „Ty Żyd.” Ja mówię: „Nie.” „Ty Żyd.” „Nie.” „Tak”, „Nie”, „Tak”, „Nie”. Pięć minut. Nie byli przekonani. Ukraińiec bierze mnie do ubikacji. Spuszczam spodnie. On patrzy na dół i widzę na jego twarzy zdziwienie. Woła drugiego: „Iwan, chodi tuda!” Drugi przychodzi, patrzy. Obaj są zdumieni. Co było powodem? Staralem się, że tak powiem „zreperować” obrzezanie sznurkami, ciężarkami i tak dalej. Nie dało rady. Rezultatem było, że mnie bardzo bolało i opuchło. Dlatego nie mogli poznać. Ale rzecz jasna, skoro kombinowałem, muszę być Żydem. Zaaresztowali mnie. Byłem w więzieniu. Udało mi się uciec i dzięki pomocy Niemca wrócić do Izbicy.

Przy pomocy Niemca?

Tak. Ojciec opłacił Volksdeutscha. Krauze. Przyjechał po mnie. Jak wydostałem się z więzienia, byłem w getcie Stri. Przyjechał z przepustką. Mogłem jechać pociągiem. Poszedł kupić mi bilet. Przychodzi i mówi: „Tolek, słuchaj...” Nazywał mnie Tolek. „Za 15 minut odchodzi niemiecki pociąg, z niemiecką obsługą z frontu wschodniego. Są tam ranni żołnierze. Możemy pojechać tym pociągiem. Nie otwieraj gęby tylko słuchaj. Możemy też jechać pociągiem normalnym. To potrwa kilka godzin. Tam pełno szmuglerów. Jak cię poznają i ci zrobią krzywdę, to ja się usuwam. Zdecyduj.” Zdecydowałem, żeby z nim pojechać jako niemiecki chłopak. Pamiętam przedział, siedziała wojskowa, był jeden SS-owiec, żandarmeria. I nawet poczęstowali mnie czekoladą. Dojechałem do Izbicy. W Izbicy poszedłem do naszego mieszkania. Stukam. Jakiś głos się odzywa.

Myślałem, że to ojca. Mówię: „Tato, to ja.”. A ten mówi: „Ty Żydzie, ty uciekaj stąd, ty już tu nie mieszkasz.” Powiedział mi, gdzie mieszkam. W garbarni. W nocy, bardzo niebezpiecznie było - patrole niemieckie. Doszedłem. Zastukałem w okno. Ojciec mi otworzył. Byliśmy znowu wszyscy razem. Jak ja udałem się na Węgry, Izbica została ogłoszona Judenrein. Były dwa określenia, które wywołały panikę u Żyda. Jednym była „akcja”; drugie określenie - gorszego nie może być - to „Judenrein” - czystka od Żydów. Wtedy na nic zdały się kryjówki. Przedtem jak była akcja, to człowiek się schował. Niemcy zabrali 1000-1500 Żydów, zakończyli akcję, pociąg odjechał. Można było iść na ulicę. Ale jeżeli miejscowość została ogłoszona „Judenrein”, to nie było sensu się schować. Jak długo możesz być w kryjówce? Dzień, dwa, trzy? A jedzenie, ubikacja? Wyglądało to jakby dobrowolnie ludzie szli grupami do stacji kolejowej. Już nie chodzi o Niemców. Sąsiedzi przyjdą, żeby stół ci zabrać, wziąć pościel, łyżki, noże i w końcu cię znajdą. Nie da rady, zginiesz. Na stacji kolejowej, gdzie resztki Żydów się zebrały, gestapo zażądało, żeby zostawić 200 do pracy w garbarni. W garbarni było 200 Żydów, między innymi moi rodzice.

Jak pana rodzina przetrwała ten czas?

Izbica to było miasteczko biedaków, ale mój ojciec się zaliczał do tych bardziej prosperujących, ponieważ miał stałą pracę. Był legionistą i jak został ranny to dostał od państwa, od Piłsudskiego, koncesję na sprzedaż win i wódek w naczyniach zamkniętych. Pamiętam ten szyld. Później to też mi pomogło. Poszedłem do kolegów ojca, legionistów i oni mi pomogli. Rzecz jasna jak wojna się zaczęła, to ojciec już tego sklepu nie miał i cierpiał jak wszyscy inni.

Podróż do Węgier też była ryzykowana. Były plotki na temat tych przewodników, że biorą grupy Żydów, wprowadzają ich do lasu koło granicy, chodzą z nimi w zaroślach z godzinę, potem mówią, że już szczęśliwie przekroczyli granicę, i żeby napisali, że przeszli przez granicę, żeby ich rodzice zapłacili im w getcie. Tamci podpisują wszystko i zostają zamordowani a rzeczy zabrane.

Matka do mnie mówi: „Wiem o tym, ale tu w getcie czekamy na śmierć, kropka.” Te plotki, może to nieprawda. Mam sam zdecydować. Zdecydowałem, że jadę.

Pamiętam rozmowy w garbarni: „Na pewno nie zabiją nas, jesteśmy fachowcami, wyrabiamy skórę, a skóra jest produktem strategicznym dla żołnierzy”.

Pamiętam ten dzień - 28. kwietnia, kiedy obudził mnie wystrzał karabinowy. Spałem na strychu. Wstałem, doskoczyłem do okna. Patrzę na dół i widzę garbarnię otoczoną żołnierzami. Zeskoczyłem z pierwszego piętra, ze strychu. Zostałem jednak złapany przez Niemca i wyprowadzony. Niemiec wepchnął mnie do grupy. Wiedziałem, że jestem skazany na śmierć.

Ukraiński strażnik stał prawie przy mnie, nasze buty się dotykały. Chciał zapalić papierosa i ile razy zapalał zapałkę, tyle razy wiatr mu ją gasił. Wreszcie podniósł kołnierz płaszcza wojskowego, wykręcił głowę od wiatru i zapalił. Jak zobaczyłem, że on odwraca głowę, pomyślałem „teraz”. Wysunąłem się z grupy i zmieszałem z obok stojącymi Polakami. Nikt nic nie gadał, każdy mnie znał. Ale wiedziałem, że długo tam się nie utrzymam. Patrzę, a tu mój kolega Janek Knapczyk. Mówię mu: „Janek ratuj”, a Janek mówi: „Pewno, leć do stodoły”. Niedaleko była jego zagroda. Idę tam w kierunku stodoły, patrzę brama zamknięta i kłoda duża przy bramie, ale myślę sobie, może jakaś deska jest urwana, czy co, może się uda dostać. I kiedy tak obchodzę naokoło stojąca nieopodal kobieta woła: „Tojli uciekaj, uciekaj Tojli, uciekaj... Boże kochany, uciekaj!”. Pytam się: „Co się stało?” „Uciekaj, on idzie.” „Kto idzie?” „Janek idzie, Janek idzie uciekaj”. Pomyślałem - Janek idzie, to otworzy kłódkę; dlaczego ona taka przerażona. Wykręcam głowę, a tu Janek idzie z Niemcem: „Bierzcie go, to jest Żyd.” Niemiec zaprowadził mnie na rynek, gdzie wszyscy złapani Żydzi już czekali na wywózkę. Krótki czas potem przyjechały dwie ciężarówki kryte plandeką. Z przodu ciężarówek był wojskowy jeep, żołnierze i karabin maszynowy. Chwilę później ruszyliśmy na północ, tam gdzie Sobibór. Pamiętam te rozmowy w ciężarówce: „my jesteśmy młodzi; zabili już kaleki, star-ców, dzieci, ale my pracujemy, produkujemy skórę; nie zabijają nas; my jesteśmy specjalistami. Mamy trzy obozy koncentracyjne. Na pewno to będzie obóz koncentracyjny Osowa.” Pamiętam, jak samochody minęły wyjazd na Osowę. „O to nic” - znowu takie gadki - „Osowa to mały obóz, na pewno skręcimy do Trawnik, tam duży obóz i tam są fabryki”. Samochód przejechał wyjazd na Trawniki, a my jedziemy prosto. Wtedy już wiemy - następny przystanek to Sobibór. I znowu głosy młodych ludzi: „Rzucimy się na nich, weźmiemy ze sobą kilku”.

Samochody wkrótce stanęły. Kazali nam zejść. Sobibór. Obóz był tajny, więc zanim otworzyli bramę, rozkazali tym, którzy nas przywieźli, żeby się odsunęli. Stoimy i patrzymy. Trochę dalej niż 50 metrów był długi płot z drutu kolczastego przeplatany młodą jedliną. Wyglądał jak zielony płot. Jedlina wplataną była po to, żeby nie można było przejrzeć, co się dzieje. Był sztyd SS Sonderkommando. Bałem się, co zobaczę. Wiedziałem już, że to jest mordownia. Mordownia. Wyobrażałem sobie piekło. Tu palą ludzi. Jak otworzą bramę, zobaczę coś okropnego. Brama się otworzyła. Kazali nam wejść. Rozglądam się i nie chciało mi się wierzyć. To nie może być mordownia - za ładnie. Kwiaty, domki z napisami. Ten ładny domek, który do tej pory stoi, nazywał się Schwalbennest („Jaskółcze gniazdo”). Peron kolejowy wyglądał jak mała stacyjka z drogowskazem do Berlina, do Warszawy, ale to nie było dla polskich Żydów. My w tym czasie już wiedzieliśmy, co to jest Sobibór. To było dla tych przyjeżdżających z Niemiec, z Holandii, z Francji. Wyobrażałem sobie, że będą doły, że będą bili, katowali i że to wszystko będzie się paliło. A tu ładna wioska. Stoimy. Niemiec Franzel woła kobiety i dzieci w jedną stronę, a mężczyzn w drugą. Pożegnałem się z matką, jestem przy ojcu. Matkę z młodszym bratem zaprowadzili do

komory gazowej. A mężczyźni stali. W tym czasie potrzebowali ludzi do pracy. W obozie śmierci nie było selekcji. Akurat jak mój transport przyjechał, potrzebowali kilku pracowników. Zostałem wyznaczony. Reszta, w tym mój ojciec została odprowadzona do komory gazowej. Zacząłem pracować jako więzień Sobiboru. Mnie nazywali w obozie Feierman, co znaczy ogniomistrz. Miałem budynek a w budynku duży piec. Moim zadaniem było palić wszystkie dokumenty i zdjęcia. Większość z nas była zatrudniona do sortowania - marynarki tu, spodnie tam; inna grupa przeszukiwała kieszenie. Szybko to szło. Zabicie trzech tysięcy ludzi, Holendrów - trzy godziny.

Ludzie się dziwią, jak można było zamordować tylu ludzi w tak krótkim czasie. Można było, jeżeli to było tak dobrze zamaskowane. W XX wieku człowiek stał przed komorą gazową i nie chciał wierzyć, że idzie na śmierć. Dam przykład. Transport holenderski przyjeżdżał przeważnie rano, o ósmej. Trzy tysiące osób podzielone na trzy działy. Pierwsza część została wepchnięta do obozu. Myśmy im pomagali zejść z pociągu, nieść bagaże. Potem Niemiec rozkazał wszystkim, żeby poszli dalej już bez bagaży. Wszyscy byli spokojni, bo na walizkach mieli ładnie wypisane adresy. Potem wszyscy się zebrali na placu, gdzie Niemiec w białym kitlu udający lekarza miał przemowę. Przepraszał za ciężką, trzydniową drogę z Holandii. Wreszcie są tutaj. Ze względów higienicznych muszą pójść do kąpielni. Potem dostaną miejsca zakwaterowania. I ludzie się rozbierali i szli do komór gazowych.

Nie byłem nigdy w komorach, ale jestem pewny, że kiedy z główek prysznicowych gaz przyszedł zamiast wody, myśleli, że to ma jakąś funkcję. Po dwudziestu minutach już nie żyli. Byli wynoszeni do spalenia.

Czy nikt z więźniów, którzy obsługiwali przyjeżdżających, nie miał ochoty powiedzieć, co tutaj się dzieje naprawdę?

Jeden chłopak próbował. Przyplącił to męczarnią zanim go zastrzelili. Idzie grupa ludzi, tysiąc czy półtora tysiąca. Myśmy mogli tych Niemców czapkami zakryć, ale kto by uwierzył. Idź do tej kobiety, czy mężczyzny, którzy jeszcze trzy dni temu mieszkali w normalnym mieszkaniu i mieli normalne życie. Powiedz: „idziecie na śmierć”. Nie uwierzą. Tamten chłopak powiedział: „idziecie na śmierć, róbcie coś”. Kobieta doszła do SS-owca, mówi, że tu jeden straszy. Wagner, najgorszy SS-owiec, mówi: „Co możemy zrobić, on trochę pomyłony, ale co zabijemy go?”. Myśmy mieszkali obok Sobiboru i nie chcieliśmy wierzyć.

A jak przyjechał polski transport Żydów, którzy już wiedzieli, to się rzucali. Było kilku z Majdanka. Jak zamknęli Bełżec, to pracowników z Bełżca przywieźli. Ci też zaczęli się rzucać ale nie dali rady.

Od którego momentu Pan zaczął uczestniczyć w grupie przygotowującej powstanie?

Plan był taki, żeby zwabić Niemców w ustronne miejsca i tam nożami, siekierami ich zabić. Nie używać ich broni aż do ostatniej chwili, kiedy będzie otwarte powstanie. Ponieważ miałem odosobniony budynek, gdzie nie było Niemców, musieli mnie wciągnąć. Feldhendler, dowódca powstania powiedział mi, że u mnie ma być zabity jeden Niemiec. Miałem zasłonić okna papierami. W ostatniej chwili przyleciał do mnie Łódzki Żyd Sender i mówi: „Tomek, nic u ciebie nie będzie, bo niedaleko jest wieża strażnicza i jakbyśmy zawołali tutaj Niemca, na pewno strażnik by to widział i byłoby podejrzane, że ten Niemiec nie wychodzi”. Dał mi inną pracę - zwabić Niemców do różnych miejsc. A potem ich zlikwidować. Nie mieliśmy żadnego kierownictwa. Około 5:30 zrobiliśmy ogólne powstanie i uciekliśmy. Jeden drugiemu powiedział. Na początku wiedziało jakieś dziesięć procent, 60 osób z 600. Potem jeden drugiemu powiedział. I tyle.

14 października zbuntowaliśmy się. Wybiliśmy większą część Niemców i uciekli. W lesie, jakbym był polskim chłopakiem, chrześcijaninem, poszedłbym do pierwszej lepszej wioski, miasteczka i byłbym uratowany. Ale byłem Żydem. Gdzie pójde? Do Izbicy? Ludzie, którzy mieszkają w naszym domu, nie byliby radzi, gdybym przeżył, wiedziałem o tym. Ukrywałem się. Było nas trzech. Wreszcie chłop na Zalesiu, Bojarski, zgodził się nas ukrywać za pieniądze. Po jakimś czasie przyszedł z pomocnikami i strzelał do nas. Jeszcze te kule mam pod szczęką.

Jak to jest czuć, że się umiera, bo Pan chyba wtedy to czuł.

Jak strzelił, poczułem tylko gorące ukłucie. Myślałem, że nie żyję. Przypomniały mi się lata, jak byłem dzieckiem, mój wujek opowiadał nieraz różne bajki, historie. Mówił, że jak człowiek umiera, to jeszcze 3 dni paznokcie i włosy rosną, i wszystko słyszy, tylko nie umie reagować. Potem pomyślałem, że spróbuję otworzyć oczy. Spróbowałem, było ciemno, bo mieli lampy naftowe przykręcone. Leżałem skulony i widziałem buty tego, który do mnie strzelał. On stał, rękaw blisko mnie. Pamiętam sekundę wahania, chciałem go złapać za rękę, żeby mnie dostrzelił, żeby się nie męczył, jak mnie zakopią. Z paska zrobili pętlę, wyciągnęli mnie na dwór i wyrzucili do błota. Udałem trupa i przeżyłem. Potem wałęsałem się po lasach i po wioskach. Do czasu kiedy przyszli Rosjanie.

Co było dla Pana najgorszym przeżyciem w Sobiborze?

Jak jeden Żyd na rozkaz Frenzla miał zabić drugiego Żyda nahają. Przypadkiem ten zabity Żyd też nazywał się Blatt. Blatt był w drużynie leśnej, Waldkommande. Wykopywali pniaki i drzewa do palenia. Któregoś dnia rzucili się na Niemców i uciekli. Po kilku dniach znaleźli właśnie Blatta. Fenser wziął drugiego Żyda i kazał zabić Blatta, biczem.

Czy w takim miejscu jak Sobibór, w takim piekle, były jakieś uczucia, było coś dobrego?

Tak. Dziewczyny i mężczyźni wiązali się razem, chodzili razem i pobierali się i byli razem po wojnie.

Jak Pan pamięta zakończenie wojny?

Pałem krowy dla Petli i pewnego dnia usłyszałem, że front się zbliża. Dopiero jak usłyszałem strzały, poszedłem na dół do wioski. Zobaczyłem, że żołnierze się myją. Wziąłem krowę na wszelki wypadek ze sobą z obory. Jakby mnie zaczepili, to pałem krowy. Poszedłem na wzgórek. Na wzgórku były snopy zboża i jeden snop się ruszał. Doszedłem, a tam jeniec sowiecki uciekł ze stodoły. Usiadłem koło niego. Tłumaczył, że front jest jakieś 2 kilometry stąd.

Potem widziałem, jak Niemcy wysadzają w powietrze czołgi na wsi, żeby się nie dostały w ręce rosyjskie. Zszedłem na dół do wioski. Staję na drodze, nikogo nie widzę. Wreszcie koło lasu zauważyłem jakiegoś jeźdźca, w czarnej pelerynie. Wjechał na brzeg lasu, patrzył i wrócił z powrotem do lasu. Widzę, drózką na rowerze jedzie jakiś żołnierz. Stałem na drodze. Dojechał do mnie i pyta: „germanców niet?”. Mówię, że nie. Wykręcił się i pojechał z powrotem. I to było całe moje wyzwolenie.

Izbica. Nie mam gdzie iść. Stałem na rynku, potem przyszedł drugi ocalony, trzeci. Było nas chyba z pięciu. Staliśmy. Gdzie spałem tej nocy, nie wiem, nie pamiętam. Na drugi dzień znowu żeśmy się zebrali na rynku.

W 1944 roku, kiedy front się zatrzymał na Wiśle, wszyscy uratowani Żydzi zbierali się w Chełmie i w Lublinie. W małych miasteczkach nie ryzykowali. Tam było bardzo niebezpieczne.

Zabity został Ferendler, jeden z dowódców powstania. Josefa Kopa, mojego kolegę, zabili kiedy pojechał rowerem, żeby odebrać swoje rzeczy, które dał na przechowanie. Nawet ja mu ten rower napompowałem, bo pracowałem w naprawie rowerów. Na Zamojskiej w Lublinie. Spałem tam w takim domu, UNRRA się mną zaopiekowała. Rano poszedłem na Świętoduską. Tam baby sprzedawały mleko, śmietanę. Kupiłem bułkę, śmietanę, to było moje śniadanie, i poleciałem do

pracy. Potem zastrzelili Blanka z Izbicy, mieszkał na Kowalskiej 4, zastrzelili Felendlera na Złotej. Wtedy już wiedziałem, że nie ma sensu zostawać w Polsce. Po tych strzelaninach dużo Żydów przeniosło się do Łodzi, a potem dalej.

Byłem w Lublinie do stycznia 1945 roku. Od lipca, od wyzwolenia Lublina. Nawet na Majdanku byłem. Jeszcze kości były w piecach i szczątki ludzkie. Jak Warszawa została zdobyta, to pamiętam to złomowisko, ruiny.

W 1957 roku wyjechałem do Izraela. W Izraelu zapoznałem turystkę amerykańską, pobraliśmy się i pojechaliśmy do Ameryki.

Czy wspomnienia obozowe do Pana wracały po wojnie, jak jeszcze Pan mieszkał w Polsce?

Zawsze myślałem, żeby napisać książkę. Wiedziałem, że we mnie jest coś, co muszę przekazać przyszłym pokoleniom. Szczególnie mnie bolało, że po wojnie w Sobiborze była przy wejściu tylko oficjalna tablica: „Tu zostało zgładzone 250 tys. Rosjan”. Potem małymi literkami Żydzi, Polacy, Cyganie, co w ogóle nie było prawdą. Z czasem udało mi się to usunąć i postawić prawdziwą tablicę - tu zginęło 250 tys. Żydów i około tysiąca Polaków. W tej sprawie musiałem pisać do papieża, byłem umówiony z papieżem. Wytłumaczyłem tą sytuację i koniec końców tablicę usunięto i dali nową.

Ma Pan przesłanie dla młodych ludzi?

Myślę i myślę przez tyle lat. Nie jestem na tyle mądry, żeby komuś wskazać, jak się ma zachowywać. Jedno wiem - nikt siebie nie zna. W tej chwili najlepszy człowiek na ulicy, który, o ile się go zapytasz o ulicę przejdzie, kilometr, czy dwa, żeby ci pokazać dokładnie. Nie wiadomo, jaki byłby w innych warunkach. Nie wierzę, że kiedyś ludzie będą żyli w zgodzie.

Jaki sens życia? Ja nie jestem religijny, ale mocno wierzę w to, że wszystko ma jakiś sens, tylko my go nie rozumiemy. Jest coś, co kieruje naszą biologią, życiem, wszystkim, ale to nie jest religia. Ile religia ma lat? Najdłużej 5-6 tysięcy. Popatrzmy na równowagę ludzkości. Popatrz na ciało człowieka. Przecież to wszystko funkcjonuje jak największa technologia. To nie ma nic wspólnego z bogiem. Religie? Ich wynik to wojny, nienawiść. Religia daje otuchę pewnym ludziom, nadzieję. Każdy się boi śmierci, samotności.

Niedawno moja znajoma opowiadała mi, że jak powiedziała swojej babci, że Matka Boska jest Żydówką, to ta babcia odpowiedziała: „Córuś, co ty wygadujesz, broń boże!”. Jej nawet do głowy

nie przyszło, że Chrystus był Żydem, że 12 apostołów było Żydami. Żydówka Królową Polski. Matka Boska oficjalnie jest Królową Polski na Jasnej Górze. Teraz chcą zrobić Chrystusa jako Króla Polski.

Nienawiść się kręci, kręci tylko dlatego, że ktoś nie z jego winy urodził się muzułmaninem, czy żydem, czy Chińczykiem, czy świadkiem Jehowy.